

Przemysław Mrówka: Proxy war albo polityka jako przedłużenie wojny innymi środkami

Wojna zastępcza jest absolutnie niezbędna dla utrzymania wiary w liberalną demokrację jako szczytową formę ustrojową, pozwala bowiem na gładkie odcięcie się od spuścizny przeszłości. Tak długo, jak możemy prowadzić działania wojenne cudzymi rękoma, tak długo możemy z wyższością patrzeć na swoją historię i twierdzić, że jesteśmy na poziomie rozwoju cywilizacyjnego, na którym nie musimy już prowadzić wojen – pisze Przemysław Mrówka w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Żelazna kurtyna, imperia i powrót geopolityki”

Jest rok 1777. Trzy lata temu Kongres Kontynentalny utworzył unię pomiędzy Trzynastoma Koloniami, a tarcia pomiędzy amerykańskimi osadnikami i metropolię zamieniły się w wojnę. Toczono ją ze zmiennym szczęściem. Większość mocarstw europejskich była przekonana, że Brytyjczycy dość szybko ukrócą zapędy niepokornych kolonistów. Wbrew tym oczekiwaniom, kolejni brytyjscy dowódcy nie mogli sobie poradzić z osadnikami, aż wydarzyło się niepojęte: po kilku dniach walk pod Saratogą korpus gen. Burgoyne'a musiał poddać się Armii Kontynentalnej. Amerykańscy żołnierze świętowali, Londyn przeżywał gorzkie porażki i szykował kolejną wyprawę, zaś inne mocarstwa zaczynały rozważać opcje. Czternaście lat temu zakończyła się wojna siedmioletnia, w której sojusz brytyjsko-pruski pokonał Francję oraz jej sojuszników: Święte Cesarstwo Rzymskie, Hiszpanię, Rosję i Szwecję. Zwycięstwo pod Saratogą przekonało Ludwika XVI, że nadarza się okazja do odpłaty za tamto upokorzenie. Z tego względu

Francja zawarła w lutym 1778 roku sojusz z kolonistami. W sierpniu flota Charlesa d'Estaingna przybyła do Nowego Świata, przywożąc francuskie pułki oraz zaopatrzenie, zaś w 1781 roku do wojny dołączyła także Hiszpania. W tym samym roku w zatoce Chesapeake Royal Navy poniosła swoją największą klęskę w historii: choć bitwa na poziomie taktycznym była nierozstrzygnięta, to francuska flota odcięła armię Cornwallisa od zaopatrzenia płynącego z metropolii. Zwycięstwo kolonistów było już tylko kwestią czasu.

Wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych jest w mojej opinii pierwszą wojną zastępczą lub, używając bardziej precyzyjnego terminu angielskiego, proxy war. Jest to rodzaj konfliktu zbrojnego, w którym, w odróżnieniu od wojny bezpośredniej, belligerenci dążą do realizacji celów strategicznych, ograniczając zaangażowanie własnych armii. Widać to już w przytoczonym wyżej przykładzie: Francuzi walczyli z Brytyjczykami rękoma amerykańskich kolonistów, dbając o ich zaopatrzenie i wsparcie i używając do tego podstawionych firm, np. Rodrigue Hortalez et Compagnie, by ukryć swoje zaangażowanie. Regularna armia francuska toczyła walki z Brytyjczykami, jednak na małą skalę i tylko w koloniach, ani razu nie doszło do ataku wojsk lądowych, czy to na terytorium Francji, czy Zjednoczonego Królestwa. W zasadzie jedynie marynarki wojenne obu krajów toczyły regularne starcia a i te raczej ograniczono do łamania blokad lub działań antypirackich. Pomimo więc tego, że formuła ta zagościła na dobre w polityce międzynarodowej w XX wieku, uważam, że narodziła się właśnie pod koniec wieku XVIII. Współczesny świat zaś udowadnia, że dalej ma się całkiem dobrze. Dlaczego tak jest?

Przeczytaj również: Zimna wojna ekonomicznych idei i ekonomiczne batalie „zimnej wojny”

Wraz z rozwojem cywilizacji rozszerzała i komplikowała się sieć wzajemnych zależności. Dawno odeszliśmy od modelu autarkicznego, w którym dowolny kraj jest samowystarczalny. Zależności polityczne, ekonomiczne czy ideologiczne tworzą rozrastający się system naczyń połączonych, w którym zaaplikowanie bodźca w jednym miejscu może mieć nieoczekiwane i szerokie reperkusje. Z drugiej jednak strony, nie znaczy to, że zmianie uległy podstawowe pryncypia funkcjonowania państw: dążenie do umocnienia własnego stanu posiadania oraz projekcji swojej woli na zewnątrz. Zmieniła się tylko plansza.

Rok 1815 przyniósł powstanie koncertu mocarstw. Główne kraje Europy, pod wpływem traumy wojen z napoleońską Francją, postanowiły zacementować *status quo* i szukać jego ewentualnych zmian w drodze dyplomatycznej. Oczywiście, nie spowodowało to, że na Starym Kontynencie zagościł pokój, jednak na sto lat udało się ograniczyć skalę konfliktów zbrojnych. Po horrorze Wielkiej Wojny powstaje Liga Narodów, kolejna próba niedopuszczenia do eskalacji konfliktów. Szybko okazuje się jednak, że komunizm oraz nazizm czynią Ligę Narodów utopijną mrzonką i wybucha kolejna wojna światowa. W 1946 roku Liga Narodów zostaje rozwiązana, na jej miejsce zaś powstaje Organizacja Narodów Zjednoczonych, kolejna i jak na razie ostatnia próba utworzenia platformy porozumienia między państwami, nawet wrogimi.

Oczekiwanie, że powstanie owych platform może wyrugować wojnę jako narzędzie prowadzenia polityki zagranicznej, narodzić się mogło tylko w głowach teoretyków. Udało się ją jedynie ograniczyć, niejako

„ucywilizować”. Nowa platforma wraz z wzrostem międzynarodowych zależności uczyniła pełnowymiarowe bezpośrednie konflikty zbrojne inwestycją ryzykowną i nieopłacalną, znacznie taniej jest bowiem narzucić swoją wolę w drodze dyplomacji. Czasem wciąż jednak zachodzi konieczność rozszerzenia lub obrony swojej strefy wpływów.

Przeczytaj również: Nieżelazne kurtyny przyszłości

Kiedy przyjrzymy się liście konfliktów zbrojnych toczonych po 1945 roku, zauważymy, że niemal wszystkie to albo wojny domowe albo wojny zastępcze (zresztą w znakomitej większości mamy do czynienia z połączeniem obu). Oprócz rachunku zysków i strat pojawił się jeszcze jeden czynnik: doktryna MAD. Mocarstwa zdały sobie sprawę, że eskalacja konfliktu doprowadzić może do punktu bez powrotu, zaś nikomu nic nie przyjdzie z kontroli nad radioaktywnym pustkowiem. Proxy wars to idealne narzędzie zastępcze. Możemy narzucić swoją wolę, obronić lub rozszerzyć strefę wpływów, zadbać o wpływy ekonomiczne oraz kontrolę nastrojów społecznych, również wewnętrznych, z drugiej natomiast strony wystarczy przestrzegać kilku zasad, by nie dopuścić do nadmiernej eskalacji. Wojna koreańska, podczas której doszło do walk między żołnierzami ONZ a chińskimi, była w zasadzie ostatnią sytuacją bezpośredniego zaangażowania mocarstw pod własnymi flagami. Już w Wietnamie używane będą poręczne obejścia w rodzaju wysyłania „specjalistów” lub „doradców”.

„Teologia Polityczna Co Tydzień” ukazuje się dzięki hojności Darczyńców. Dziękujemy za wsparcie. Trwa zbiórka na wydania w 2026 roku.

Jakkolwiek minie sporo czasu, nim poznamy faktyczne kulisy trwającej właśnie wojny na Ukrainie, panuje powszechna opinia, że jest to właśnie wojna zastępcza toczona między NATO a Federacją Rosyjską. Zwracają uwagę liczne podobieństwa do wojny w Afganistanie, gdzie Związek Sowiecki zaatakował zbrojnie kraj, którego zajęcie miałyby niebezpieczne następstwa dla światowego układu sił, do broniących zaczęło więc szeroką strugą iść zaopatrzenie oraz wsparcie wywiadowcze, na agresora zaś nałożono sankcje. Podobieństwa między współczesnymi a zimnowojennymi wojnami zastępczymi, a nawet ich osiemnastowiecznym pierwowzorem, każą przypuszczać, że ten rodzaj konfliktu błyskawicznie osiągnął swoją formę docelową i zmieniać się będą tylko używane narzędzia. Główną różnicą jest ustrój krajów je prowadzących: po 1989 wszystkie strony konfliktów stały się, przynajmniej na poziomie deklaracyjnym, demokracjami. W demokracji zaś prowadzenie bezpośredniego konfliktu jest bardzo ryzykowne i wymaga starannego kształtowania opinii publicznej. Wojna zastępcza jest po prostu bezpieczniejsza dla szans reelekcji. Jest też absolutnie niezbędna dla utrzymania wiary w liberalną demokrację jako szczytową formę ustrojową, pozwala bowiem na gładkie odcięcie się od spuścizny przeszłości. Tak długo, jak możemy prowadzić działania wojenne cudzymi rękoma, tak długo możemy z wyższością patrzeć na swoją historię i twierdzić, że jesteśmy na poziomie rozwoju cywilizacyjnego, na którym nie musimy już prowadzić wojen.

Pragnę w tym momencie podkreślić, że rozumowanie to jest mieczem obosiecznym i pułapką, sam zaś jestem biegunowo odległy od zasłonięcia nim apelu o wstrzymanie zaangażowania NATO na Ukrainie. Można sobie łatwo wyobrazić scenariusz, w którym świadomość pełnoskalowej reakcji NATO na eskalację konfliktu rosyjsko-ukraińskiego powstrzymałaby Moskwę. Jest to oczywiście tylko teoretyzowanie i jego celem jest jedynie wskazanie innego scenariusza. Sarkastyczny wydzwięk poprzedniego akapitu nie ma na celu potępienia wojen zastępczych, bowiem dotychczasowa historia ludzkości zdaje się wskazywać raczej na to, że są one tragiczną koniecznością wynikającą z samej ludzkiej natury. Za prawdziwie szkodliwy efekt wojen zastępczych uważam usunięcie wojny z optyki społecznej. Korea, Wietnam, Półwysep Synaj, a potem Syria dały nam fałszywe poczucie, że wojna jest czymś, co przydarza się komuś innemu, na innym kontynencie. Dopiero Ukraina trochę nas z tego wybudziła, wciąż jednak niewystarczająco. Koniecznością jest odrzucenie poglądu, zgodnie z którym żyjemy w czasach pokoju. Wojna trwa niezmiennie, zmieniają się tylko jej narzędzia. Mogą to być *proxy*, handel czy dyplomacja, zawsze jednak będzie to jakaś projekcja siły. Tak długo, jak będziemy nie dopuszczać do siebie tej świadomości, tak długo będziemy przyczyniać się do utrzymania tego stanu rzeczy.

Przemysław Mrówka

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[518]: „Żelazna kurtyna, imperia i powrót geopolityki”**

Zdjęcie: Saifee Art /Unsplash